Sala była wypełniona po brzegi. Nie było człowieka w mieście, który by nie przyszedł na zebranie, na kraj zwaliło się bowiem w tym czasie wiele nieszczęść i nikt nie wiedział co robić. Przemówienie miał wygłosić pan Szrajholc, toteż całe miasto zbiegło się, aby go wysłuchać, bo w naszym kraju jest taki zwyczaj, że każde działanie musi być poprzedzone omówieniem, a omawianie znaczy w praktyce wygłaszanie mowy. Po obfitym zalewie słów i po wygłoszeniu wszystkich przemówień ludzie mają wrażenie, iż coś niecoś dla sprawy zrobili. Jeśli nieszczęście przeminęło, to dobrze, jeśli nie, wygłasza się jeszcze jedno przemówienie i tak dalej, aż na kraj nie zwala się nowe, jeszcze większe nieszczęście, a wtedy wystawia się nowego mówcę i rzecz się toczy jak poprzednio; jeśli nieszczęście minęło, to dobrze, jeśli nie, to...

Jest dobrze, jeśli ludzie schodzą się i wygłaszają przemówienia, człowiek czuje wtedy, że coś zrobił. Czasami wie się z góry, co zapowiadany mówca powie, a czasem po tym, co powiedział nie wie się, o co mu chodziło. Bywa również tak, że ludzi w ogóle nie obchodzi to, co mówca głosi, wystarczy im, że jakoś spędzili dwie lub trzy godziny z tego życia, które ulatnia się jak dym. Często ludzie boją się chwili, kiedy mówca zakończy swoje przemówienie, bo wtedy trzeba będzie pójść do domu, a tam zastaną swoje żony bardzo zmęczone, albowiem one również były na zebraniu.

I chociaż po każdym takim przemówieniu urządza się bankiet, to jednak nie każdy ma szczęście być nań zaproszony. Kiedy się patrzy na takie zbiorowisko ludzi można ulec złudzeniu, że to jeden zwarty monolit, ale w istocie rzeczy, każdy z tych ludzi uważa siebie za oddzielną, odrębną indywidualność. To samo dotyczy kobiet. Każda reprezentuje sobą jakby inną rasę, mimo iż wszystkie, wyróżniające rasę zewnętrzne oznaki zostały zrobione przez tego samego fachowca.

Pan Szrajholc powinien już był zacząć przemówienie, ale zwyczajem wszystkich wielkich mówców lubił się spóźniać, czasem o pół godziny, a czasem o całą godzinę. Publiczność zaś zazwyczaj przychodziła o wiele wcześniej. Każdy chciał zająć jak najlepsze miejsce, zamienić słówko ze znajomymi, bo tkwiący w każdym człowieku Zły Popęd, tak zwany „Jecer hara” podpowiada mu, że on również ma coś do powiedzenia. Jeśli dziś nie ma nic nowego do powiedzenia, to wystarczy powtórzyć to, co powiedział wczoraj lub nawet przedwczoraj. Słuchacz, który czuje się tym znudzony, nic zwraca na to jednak uwagi, co więcej, miło mu stwierdzić, że przemawiający do niego facet nie jest mądrzejszy od niego. Działacze społeczni i przywódcy, którzy przyszli ze względu na Szrajholca, siedzą zdenerwowani, bo zwykle tak bywa z ludźmi, którzy wiedzą jak ktoś inny robi to, co oni powinni byli zrobić. I czekając na mówcę, oglądają tymczasem wiszące na ścianie powiększone fotografie. Po chwili zaczynają na siebie samych patrzeć tak, jakby ich własne podobizny świeciły już na ścianach klubu i odczuwają

przy tym smak wieczności, tego uwiecznienia, na które już zasłużyli ich zmarli koledzy.

Rzadko się zdarza, żeby człowiek nie zatęsknił trochę za uwiecznieniem samego siebie, a szczególnie dotyczy to ludzi władzy, albowiem to, co idealne, miesza się w nich z tym, co materialne, a to ostatnie nie zadawala ich pojęcia o idealnym. A że w pewnej mierze podobni są do tych, którzy dosłużyli się uwiecznienia, zaczynają wierzyć niezachwianie w to, że oni też zostaną uwiecznieni. Pojęcie jednak wieczności jest mało konkretne i dlatego nikt głębiej nie zastanawia się nad tym, czym ta wieczność jest i kiedy przestaje nią być. Czy wtedy, kiedy tętno przestaje bić, czy wtedy, kiedy ostatnia garść ziemi spada z łopaty.

Publiczność zaczęła się już niecierpliwić i powietrze na sali stawało się coraz gorętsze. Nikt dokładnie nie wie, po co tu siedzi i czego spodziewa się usłyszeć. Przychodzą tu, aby wysłuchać przemówień z czystego nawyku, a kiedy człowiek do czegoś się przyzwyczai, to już nie ma na to rady.

W pewnej chwili jakaś kobieta zwraca się do siedzącego obok niej mężczyzny, czy nie należałoby — powiada otworzyć okna? Madame wybaczy, odpowiada zapytany — ale nie mogę spełnić pani prośby. Dlaczego? Bo wszystkie okna są już otwarte. Popatrzyła na niego złym okiem i powiada: to dlaczego jest tak gorąco? Bo — odpowiada mężczyzna — powietrze, które wchodzi jednym oknem, wychodzi przez drugie.

Wtem słychać głos: a Szrajholca jak nie ma, tak nie ma. Może przygotowuje się właśnie do przemówienia - odzywa się drugi. Oby - powiada pierwszy tak było, oby przygotowywał się tak, żeby wiedział, co mówić. Patrzy na niego sąsiad, jakby utrafił w jego myśli, a że człowiek nie mówi zwykle tego, co myśli, oświadcza wręcz coś przeciwnego. — Taki mówca jak Szrajholc powiada - nie potrzebuje się przygotowywać. Odzywa się drugi: ale my tego potrzebujemy. Naiwniak z pana — odzywa się pierwszy — jeśli pan sądzi, że człowiek robi to, co potrzeba. Adwersarz tego ostatniego, spoziera na zegarek i pyta, kiedy wreszcie zaczną. Zapytany nachyla się do jego ucha i szeptem powiada:

- Co pana obchodzi zaczną czy nie zaczną? Może — odpowiada mu zapytany — ma pan rację. Co mi pan — powiada pierwszy — sugeruje, że może mam rację, ja mogę pana zapewnić, że nigdy jeszcze nie miałem takiej racji, jak teraz. A mimo to, należałoby popędzić tego Szrajholca, żeby się zaraz pojawił.

W tym samym czasie trzech młodzieńców weszło do mieszkania Szrajholca. Ten, patrząc na ich ubranie zdziwił się. W jaki sposób ludzie tak ubrani, mogli do niego przyjść? Ale pan Szrajholc ma już taką naturę, że wszystko co ma z nim związek, podoba mu się. Zapewne — myśli sobie - zostali po niego wysłani. Przyjmuje więc ich z uśmiechem i powiada, rozumiem, że przyszliście po mnie. Tak odpowiadają młodzieńcy przyszliśmy po pana, samochód czeka na ulicy.

Bierze Szrajholc grube cygaro do ust i wychodzi razem z młodzieńcami, a stojąc już w drzwiach, rzuca okiem na lustro i poprawia sobie wąsy. Znowu uśmiecha się do młodzieńców i powiada: sala już jest pełna. Jeszcze jak pełna — odpowiadają młodzieńcy. Również korytarze. Ludzie siedzą sobie na głowach. Wszyscy na pana czekają.

Wlazł pan Szrajholc do samochodu i zaraz założył nogę na nogę i otoczył się kłębami dymu z cygara. Jest w dobrym nastroju i jak na oczekiwanego mówcę przystało, odczuwa ważność swojej osoby. Jeśli można panu Szrajholcowi przypisać te odczucia, to trzeba założyć, że w tej chwili tak sobie wszystko wyobrażał: Oto wchodzi na salę, wszyscy wstają, on jednym susem przechodzi do mównicy, albo nie, podchodzi powoli, kładzie zegarek na pulpicie i wpatruje się w tłum, a tłum nastawia uszy i cała sala wygląda w jego oczach jak las uszu. Ale co się dzieje? Jadą i jadą i jeszcze nie dojechali na miejsce.

Wygląda przez szybę samochodu i pyta siedzących z nim w aucie młodzieńców: dokąd mnie wieziecie? Zabieramy pana — odpowiadają młodzieńcy -— dokąd pan sobie życzy. Owija się znowu w kłęby dymu z cygara i w wyobraźni widzi las uszu. I kiedy tak patrzy na ten las, widzi jak uszy zaczynają bić jedno w drugie, niczym ręce bijące brawa po wysłuchaniu przemówienia.

Samochód staje i młodzieńcy pomagają panu Szrajholcowi wyjść. Skoro wysiadł, już zdenerwowany podnosi krzyk: gdzie ja jestem?! Niech się pan — powiadają młodzieńcy — nie obawia, nie jest pan na pustyni, mieszkają tu porządni ludzie, ale działacze społeczni i przywódcy przytłaczający miasto swoim ciężarem doprowadzili je do ruiny, sami zaś spędzają sporo czasu za granicą i dbają tylko o siebie.

Kim jesteście? Szrajholc jest zdenerwowany i pot zalewa go od stóp do głowy. Niech się pan uspokoi, powiadają do niego młodzieńcy, jesteśmy ludźmi. Jeśli tak powiada Szrajholc — to dlaczego chcecie wyrządzić mi krzywdę? Uchowaj Bóg odpowiadają młodzieńcy — nikogo nie chcemy krzywdzić, ale na nasz kraj spadło wiele nieszczęść, a my jesteśmy przekonani, że to z powodu wielce rozpowszechnionej gadaniny, bo u nas tylko gadają i nic nie robią. Jeśli nie

możemy oderwać publiczności od mówcy, to chcemy oderwać mówcę od publiczności, aby człowiek mógł zastanowić się nad celem i sensem swego życia, żeby mógł uzmysłowić sobie na czym traci lata swego życia. I gdyby nie to, że zawiedliśmy się całkowicie na mówcach i kaznodziejach, to byśmy mogli powiedzieć, że i oni skorzystaliby na tym, albowiem siedząc przez jakiś czas cicho pozbyliby się uczucia pustki, która ogarnia ich między jednym i długim przemówieniem.

W końcu pan Szrajholc uprzytomnił sobie, że tym razem brzydko wpadł, że ci młodzieńcy nie majążadnego szacunku dla mówcy. Hamując ogarniający go gniew, zapytał: jak długo zamierzacie mnie tak trzymać? Aż — odpowiadają młodzieńcy — ludziom w sali zbrzydnie czekanie na pana i rozejdą się do domów. A co będzie — pyta Szrajholc — jeśli wybiorą innego mówcę? To nam - odpowiadają z westchnieniem młodzieńcy — do głowy nie wpadło. Prawdziwym nieszczęściem jest to, że nie ma takiego mówcy, którego nie mogłoby zastąpić stu innych.

Zagryza pan Szrajholc ze złości wargi, a młodzieńcy uprzejmie do niego powiadają: - Zechce pan łaskawie wejść. Dokąd? Ano, do tego właśnie domu, chyba, że pan chce wejść do domu mego kolegi, a więc wybieraj pan. Co pan woli, panie Szrajholc? Ja? Co ja wolę? Ja wolę, żeby was wszystkich razem ogień pochłonął i to w jednej chwili.

Zaiste — powiada jeden z trójki młodzieńców zasłużyliśmy na karę. bo zastosowaliśmy wobec pana przemoc, ale wierzymy, że Bóg w niebie nam to wybaczy, nie mieliśmy przecież wyboru. Tu pan Szrajholc zmierzył chłopca pogardliwym spojrzeniem i powiedział: - To ty wierzysz, że tam w niebie coś jest? — W każdym razie wierzę w to, że tu na ziemi nie ma niczego więcej oprócz przemówień z kazaniami i kazań z przemówieniami. A to nie jest dobrze, panie Szrajholc, całkiem niedobrze.

Czego na przykład — powiada pan Szrajholc — szukacie tu na ziemi? A cóż — wzdychają młodzieńcy — my możemy wiedzieć? Musi upłynąć siedem lat, nim z głowy wywietrzeją wszystkie te przemówienia i człowiek odzyska zdrowie. Może wtedy można będzie rozsądnie pomyśleć. Widzę

powiada — pan Szrajholc — że jesteście silniejsi ode mnie. Róbcie więc ze mną co chcecie, ale uprzedzam was, że się zemszczę. Wcale nie jesteśmy silni, powiadają młodzieńcy, wzdychając. A co do zemsty, to co nam można zrobić? Zabrnęliśmy już dość daleko, panie Szrajholc, zachowuje

my się jak prawdziwi porywacze, a może nawet gorzej. Prawdziwi porywacze robią to chociaż dla chleba, my zaś odejmujemy sobie z ust, aby starczyło na przewóz samochodem. Słowem, dokąd chce pan, abyśmy pana zaprowadzili? A cóż to — powiada pan Szrajholc — nie ma tutaj jakiejś kawiarni? Nie — powiadają młodzieńcy — nie ma w pobliżu kawiarni. A jeśli człowiek — odzywa się pan Szrajholc — ma ochotę mile spędzić wolną godzinę, to co ma robić? Tutaj — odpowiadają młodzieńcy — ludzie są bardzo zaharowani i nie mają wolnych godzin. To co oni robią pyta pan Szrajholc w sobotę albo w święto? Kto umie samodzielnie studiować Torę, ten siedzi i studiuje, a kto nie umie, uczy się u tego, który umie. Uśmiecha się pan Szrajholc i powiada, no cóż, każdy ma swoją przyjemność. Tak — przytakują mu młodzieńcy — każdy ma swoją przyjemność, lecz ich słowom nie towarzyszy uśmiech. W istocie zazdroszczą tym ludziom, którzy korzystają z takiej przyjemności.

Wszedł więc pan Szrajholc razem z młodzieńcem do wskazanego domu. Pokój, w którym się znaleźli, był mały, oświetlony przez jedną małą lampkę i wypełniony ubogimi, prostymi, drewnianymi meblami. Taki pokój, z takim umeblowaniem miał pan Szrajholc w czasach swojej młodości. Wtedy nosił też takie samo ubranie, jak teraz towarzyszący mu młodzieńcy. Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Szrajholc nie urodził się w hrabiowskim pałacu i za młodu nie ubierał się jak dziedzic, dopiero potem, jak wywindował się w górę, zaczął dbać o piękne ubrania i piękne mieszkanie. Na chwilę oderwał się pan Szrajholc myślami od tego biednego pokoju i od tego wszystkiego, co przypominało mu dawne lata, po czym zapytał: czy macie może gazetę? Gazety nie mam — odpowiedział młodzieniec, gospodarz domu — ale mam książkę, jeśli chce pan poczytać, to bardzo proszę. A to, co tam leży — pyta Szrajholc — co to jest? To jest odpowiada młodzieniec — gazeta, w którą sklepikarz zawinął mi chleb. Rozwija pan Szrajholc podaną mu gazetę i cieszy się i wzdycha. Cieszy się, bo zobaczył w niej swoje nazwisko i ogłoszenie zapowiadające jego przemówienie na uroczystym wieczorze. I wzdycha, bo nie dano mu możliwości wystąpienia z przemówieniem. Całą gazetę zdążył był przeczytać już wcześniej, jeszcze zanim go porwano, więc zażądał, żeby nastawili radio. Radia — powiadają młodzieńcy — tu nie ma. Podnosi głos pan Szrajholc: Kawiarni tu nie ma, radia tu nie ma, to jak wy tu żyjecie? Kiedy wy — odpowiadają młodzieńcy — marnotrawicie dni w kawiarniach i przy radioodbiornikach, my prowadzimy żywot zgodny z wolą naszego Stwórcy.

Wyciąga pan Szrajholc z kieszeni zegarek i powiada: Panowie, jak długo będziemy tak siedzieli? Niedługo, jeszcze troszeczkę tylko — odpowiadają młodzieńcy. Rozgląda się pan Szrajholc jeszcze raz po pokoju i wpada w lepszy nastrój, bo nagle poczuł się jak ongiś, kiedy nie był jeszcze osobą publiczną. Przypomniał sobie czasy, kiedy spokojnie siedział nad książką przy stole oświetlonym tylko jedną lampką i czytał i uczył się. Ach, tamte lata przeminęły, nastały po nich dni pełne szumu i rozgardiaszu. Jak to się stało, że po zdobyciu takiej wiedzy, ogarnęła go ta żądza wygłaszania przemówień? Pamięta, że pierwsze przemówienie nie było zbyt dobre, bowiem serce miał jeszcze młode i gorące, a im bardziej jego serce się starzało tym lepsze stawały się jego przemówienia.

I tak siedząc i rozmyślając zaczął bacznie się przyglądać młodzieńcom, których skromność i taktowność przypominają mu jego samego z dni młodości. Zapala następne cygaro i owija się dymem. Za chwilę wargi mu się rozciągają a brzuch podnosi się i opada, jakby mu się zbierało na śmiech. Odkłada cygaro, kieruje wzrok ku młodzieńcom i powiada: Chłopcy, chcę ubić z wami interes!

Interes! Zdumienie ogarnia młodzieńców. Nie jesteśmy kupcami i na interesach się nie znamy. Posłuchajcie jednak — powiada pan Szrajholc — tego, co wam powiem. Potem mi odpowiecie. Za osiem dni ma przemówienie mój kolega nazwiskiem Walcer. Chyba znacie tego gadułę. To istny worek paplaniny. Jeśli zrobicie z nim tę, co ze mną, wybaczę wam wszystko, nie będę do was żywił urazy. Śmieją się młodzieńcy. Dobry pomysł - powiadają. Zdaję sobie sprawę, powiada pan Szrajholc, że jesteście biedni i pieniędzy na wynajęcie co tydzień auta nie macie, ale gdybyście mieli forsę, to byście to zrobili? Mam jeden warunek. Za dwa tygodnie drugi mój kolega ma przemawiać, rozumiecie? Młodzieńcy na to: ojej! Śmieje się pan Szrajholc, wyciąga portfel i powiada: oto macie pieniądze na wynajęcie dwóch, a nawet trzech aut, zgoda, no, to dajcie łapę. Po kolei każdy młodzieniec daje mu rękę. Dobrze — powiadają — umowa stoi.

Teraz pan Szrajholc wpadł w tak świetny nastrój, że zupełnie zapomniał o tym, gdzie się znajduje. I gdyby chłopcy nie musieli wstać skoro świt do pracy, to by rozmawiał z nimi przez całą noc, a nawet przez cały następny dzień, bo ma już taki nawyk, że jeśli nie przemawia z trybuny do ludzi, to rozmawia z kim się tylko da, aby tylko słuchać własnych słów.

Nie wszystkie usta są równe. Pan Szrajholc, sławny przywódca lubi gadać, zaś ci młodzieńcy wolą sprowadzić taksówkę i zawieźć pana Szrajholca do domu. Ten widząc to, odzywa się do nich: Lepiej wydalibyście pieniądze na auto dla mego kolegi, który ma wygłosić przemówienie, a ja sobie pójdę do domu na piechotę. Chłopcy zgodzili się z tym, odprowadzili go przez pół drogi do domu, po czym serdecznie się z nim pożegnali.

Popatrzmy teraz na to, co się potem działo. To, co pan Szrajholc zrobił ze swoimi kolegami, ci zrobili ze swoimi, gdyż ludzie na ogół nie zdobywają się na nowe pomysły i wolą naśladować postępowanie innych. W taki oto sposób ludzie zaczęli coraz rzadziej pojawiać się na zebraniach, bo wiele razy zdarzało się, że na próżno siedzieli na sali i czekali na mówców. Coraz częściej pozostawali więcej w domu, a siedząc w domu zaczęli zaglądać do książek, albo więcej zajmować się wychowywaniem dzieci.

A jeśli świat przez to nie stał się całkiem lepszy, to jednak w pewnej mierze uległ poprawie. I przez to, że nie spędzają dni i lat na słuchaniu przemówień, zaczynają patrzeć wnikliwiej na siebie samych, a to powoduje zmianę na lepsze w ich codziennym postępowaniu. I kiedy lepsze staje się ich postępowanie, lepszym staje się kraj.

Szmuel Agon, Aaron Baranowski – Częstochowa, 2017